

PRACA nad sobą

APERIODYK MARIAWICKI
Zeszyt 59 Kraków, czerwiec 2010 r.

PODDAĆ SIĘ MODZIE ?

Od pewnego czasu publicznie zaleca się członkom społeczeństwa, aby „wzięli sprawy w swoje ręce”. W praktyce hasło to sprowadza się do zachęcenia ludzi do gromadzenia dóbr doczesnych, czyli do bogacenia się. Aby znaleźć się w grupie bogacących się musimy z czegoś zrezygnować, ponieważ w życiu nie ma niczego za darmo. Inaczej - trzeba coś z siebie „dać”, aby potem „coś” otrzymać, coś „mieć”. To nasze „danie” zwykle się sprowadza do rezygnacji z przywilejów społecznych, korzystania z kultury, pogłębienia życia duchowego i rodzinnego, czasu wolnego i tym podobnych. Aby zrealizować w pełni „danie” z naszej strony, musimy podjąć pracę uznaną wyłączenie przez pracodawcę za wartościową i wykonywać ją na warunkach bezwzględnie podyktowanych przez wąski krąg pracodawców. W konsekwencji stajemy się swego rodzaju narzędziem w rękach właścicieli środków wytwarzania, wyzyskiwanym i często pozbawianym praw podmiotowych. Realizując wymogi pracodawców nie stajemy się bogatsi materialnie, ale raczej ubożsi duchem. Nigdy w sytuacji dyktatu ze strony pracodawcy nie staniemy się jego

równorzędnym partnerem, ani też nie osiągniemy standardu życiowego pracodawcy. Dlatego należy przyjąć za pewnik, że nasze „danie” nie jest i nie będzie nigdy wprost proporcjonalne do tego, co otrzymamy w zamian.

Uwzględniając fakt, że hasło „brania spraw w swoje ręce” i bogacenia się jest przyjmowane prawie bezkrytycznie przez społeczeństwo, inne grupy ludzi wmawiają nam, że aby zrealizować swoje cele życiowe musimy koniecznie zarobione pracą pieniądze wydać na najnowsze i coraz wymyślniejsze dobra konsumpcyjne. Spirale „naszych potrzeb” nakręca handel i podporządkowana mu reklama. Podporządkowując się reklamie i zachętom handlu nie zwracamy uwagi, że wydajemy ciężko zarobione pieniądze na rzeczy często nam zbędne, lub wcale nie lepsze od już posiadanych. Nie chcemy przyjąć do wiadomości, że przez podporządkowanie się naciskom handlu i reklamy nie stajemy się nowocześniejsi, mądrzejsi ani bardziej usatysfakcjonowani życiowo. Wpadamy w błędne koło: pracujemy ponad siły uzyskując jedynie częściowe wynagrodzenie za nasz trud i pozbywamy się tego wynagrodzenia bez zastanowienia poddając się psychozie zakupów.

Stwierdzenia dotyczące narzucania nam standardów życia przez pracodawców i handel są oczywiste i winny być wskazówką do praktycznego zachowania się w życiu. Człowiek, jako istota obdarzona przez Boga rozumem, winna się z dystansem odnosić do modnych haseł i zachęt kierowanych do ludzi ze strony „władców” ziemskich. Musimy pamiętać, że wspomniane wyżej zachęty nie mają na celu naszego dobra, ale dobro pracodawców i handlowców i to nawet w wymiarze globalnym. Podporządkowując się bezwzględnie nowoczesnym zachętom zagubimy wszystko, co stanowi o ludzkim charakterze. W modnym dziś „wyścigu szczurów” nigdy nie nadążymy wobec wyzwań świata produkcji i handlu. Zapłacimy za udział w tym „wyścigu” zdrowiem fizycznym i psychicznym i utracimy sens bytu na ziemi. Ztracając się w realizacji modnych dziś haseł stracić możemy również wartość nadrzędną - synostwo Boże.

Odzywające się głosy wzywające ludzi do umiaru znajdują niewielki odzew. Trudno nam uznać, że propagowany konsumpcjonizm, to w praktyce polityka zniszczenia. W

trakcie realizacji konsumpcji w szerokim znaczeniu przedmioty zostają niszczone nie tylko fizycznie, ale i duchowo. Oznacza to, że nawet tak zwane dobra duchowe, intelektualne zużywają się i nie nadają do dalszej konsumpcji. Dobrym przykładem będzie tu przywołana przez profesora Zygmunta Baumana zbyt często używana zabawka lub płyta grana do znudzenia. One też z czasem powszednieją i idą w zapomnienie. Zostają zastąpione innymi dobrami. I zaraz powstaje pytanie - jak długo taki chocholi taniec może trwać?!

Odpowiedź na takie pytanie może być jedna. Od decyzji ludzi będzie zależało jak długo zezwolą oni by być bezwolnie wprzęgniętymi w swoistą kwadraturę koła, polegającą na realizacji pościgu za dobrami za wszelką cenę. Człowiek musi mieć zapewnione warunki bytowania na ziemi. Aby je stworzyć musi pracować. To są truizmy. Pozostaje jednak ustalenie ile pracy ludzkiej należy przeznaczyć na zapewnienie sobie znośnego bytu ziemskiego i jaki jest zakres naszych ludzkich potrzeb. Jeżeli wyważymy rozsądne zależności między pracą a naszymi potrzebami, znajdziemy wtedy czas na niezmiernie ważne sprawy ducha, albo - jak inni określają - intelektu. Musimy pamiętać o ewangelicznej zasadzie, że „nie samym chlebem człowiek żyje” i że sens życia nie zależy jedynie od czynnika „mieć”. Postawienie tego czynnika na pierwszy miejscu grozi katastrofami społecznymi - rozpadem życia państwowego, społecznego i rodzinnego. Te rozpady mogą prowadzić do nieobliczalnych konsekwencji. Względem na te zagrożenia winien być wskazówką dla naszego postępowania w życiu. Od decyzji indywidualnego człowieka zależy, czy da się wciągnąć w nie mający końca pościg za dobrami ziemskimi, a jeśli już bierze udział w tym pościgu, czy potrafi się wyrwać z błędnego koła. Zbiór indywidualnych decyzji może zaważyć na losie ogółu.

brat Józef



ZAMIAST ZDERZENIA DIALOG

Przed laty zaintrygowała mnie koncepcja *antropologii słowa* amerykańskiego jezuita Waltera Onga (1912-2003). Byłem wtedy redaktorem kwartalnika „Życie duchowe” i chciałem się przeciwstawić dominującemu przekonaniu, że zderzenie cywilizacji i podziały religii są jakoby naturalnym stanem ludzkości. To przekonanie stało się dość powszechne dzięki książce Samuela Huntingtona zatytułowanej właśnie *Zderzenie cywilizacji*. Na moją prośbę ojciec Ong przesłał mi tekst „Gdzie teraz jesteśmy? Kilka uwag kosmologicznych”, który przetłumaczyłem na język polski i opublikowałem we wspomnianym kwartalniku. Mówiąc skrótowo dotyczył on realnych możliwości dialogu pomiędzy ludźmi o różnych światopoglądach. Zdaniem Onga, już sama Biblia w swoich licznych narracjach pokazuje takie możliwości, zaś rozwój współczesnej nauki, zwłaszcza fizyki kwantowej i kosmologii wskazuje na pewne uniwersalne zasady, które obowiązują całą ludzkość niezależnie od światopoglądu poszczególnych ludzi.

W tym czasie byłem też w kontakcie emailowym ze Stanisławem Lemem (1921-2006), którego poprosiłem o komentarz do tekstu Onga. Ceniłem sobie bowiem racjonalne poglądy Lema, które potrafił łączyć z wrażliwością moralną i trafnie wskazywał na nadużycia obecne we współczesnym życiu. Stanisław Lem nie dostrzegł praktycznie żadnej interesującej dla siebie wskazówki w tekście Onga, uznając, że ten jako jezuita musi bronić stanowiska z góry przyjętego. Myślę, że powodem takiego myślenia było jego uprzedzenie do poglądów ludzi religijnych. Niestety nie zdążyłem o to zapytać i być może powrót do książek autorstwa Stanisława Lema pozwoli mi znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Po latach wracam do tamtego doświadczenia z nadzieją, że jednak można wiele się od siebie nauczyć, mimo dzielących nas różnic. Na temat *antropologii słowa* Onga opublikowałem w 2010 roku książkę (*Uskrzydłony umysł*), w której starałem się pokazać, że jego religijne przekonania nie miały wpływu na jego filozoficzne poglądy i mogą być zaakceptowane również przez ludzi nie podzielających jego

religijnego światopoglądu. Te poglądy najtrafniej ujmuje zdanie z wywiadu, jakiego udzielił Ong w latach siedemdziesiątych, a które można traktować jako nić przewodnią jego myślenia dialogicznego: „Podejście dialogiczne oznacza, że ty nie wiesz gdzie ono cię zaprowadzi. Możesz być zmieniony przez drugiego człowieka, a on może być zmieniony przez ciebie”. Dla mnie oznacza to w praktyce również możliwość przejścia ze światopoglądu religijnego do ateistycznego i odwrotnie, zaś jedynym argumentem za jednym lub drugim jest spójność wywodu i integralność życia osoby wyznającej dany światopogląd. Jak mi się wydaje zarówno Walter Ong jak i Stanisław Lem spełniają ten wymóg.

Mam nadzieję, że uda mi się również uporządkować wiedzę na temat poglądów Stanisława Lema. Szczególnie, jak już wspomniałem, chciałbym zwrócić uwagę na jego wrażliwość moralną, która nie była zakorzeniona w religii, gdyż we wszystkich swoich książkach jednoznacznie określał się jako myśliciel ateistyczny. Już w jego pierwszej powieści *Szpital przemienienia*, którą napisał zaraz po wojnie (maszynopis był gotowy w 1948 roku), a w której jako bodajże jedyny myśliciel zwrócił uwagę na ludobójstwo psychicznie chorych, jakiego dokonali niemieccy naziści, mamy do czynienia z wrażliwością moralną przy ocenie wydarzeń II wojny światowej bez odniesienia religijnego. Wydaje mi się, że ta pierwsza powieść Lema jest czymś więcej, a nie tylko rozliczeniem z doświadczeniem wojennym. Tak naprawdę przedstawił kryzys kultury europejskiej, którego zwieńczeniem była zagłada chorych psychicznie, w którym pracował główny bohater powieści Stefan Tryniecki. Właśnie dlatego likwidacja szpitala robi tak wstrząsające wrażenie, jest bowiem wpisana w życie zarówno lekarzy jak i chorych, pozwala więc zachować ich twarze, biografie, a nie tylko abstrakcyjne cyfry. Przez cenzurę uznana została za nazbyt pesymistyczną wizję przeszłości, zarzucono pisarzowi brak entuzjazmu dla nowej, rzeczywistości powojennej. Zmuszano go do rozbudowania powieści zgodnie z wprowadzonymi w 1948 roku kanonami estetycznymi realizmu socjalistycznego. Poprawki nie zadowalały ówczesnych decydentów kultury, *Szpital przemienienia* odczekał długie siedem lat by móc się ukazać („wzbogacony” dwoma tomami), jako część trylogii *Czas nieutracony* w 1955 roku. Trudno się dziwić, że autor nie zezwalał na wznawianie „dodatkowych” tomów. Lektura po latach nadal poraża trafnością spostrzeżeń i rację ma Jerzy Jastrzębski pisząc, że „*W Szpitalu przemienienia* jest już cały przyszły Lem – z jego

nieufnością wobec ‘nauki czystej’, ‘ekspertów’, racjonalności absolutnej, a zatem wypranej z etyki. A jednocześnie jest tam Lem, który pewnych zasadniczych, diabolicznie brzmiących pytań o naturę świata i życia nie potrafi zbyć łatwymi formułkami na temat moralności i humanizmu. W tym ateistycznym świecie diabeł naprawdę kłapie zębami i czuć piekielną siarkę”. Choć dodałbym, że to nie tyle diabeł ile raczej człowiek stwarzający drugiemu człowiekowi piekło na ziemi, jest głównym obiektem zainteresowań Stanisława Lema. Swój sceptycyzm kieruje z równą przenikliwością w kierunku nazbyt łatwej wiary w Boga jak i zbyt pośpiesznej ucieczce w kierunku „piekielnych” interpretacji.

Ta diagnoza, oparta na obserwacji świata, który bezpowrotnie odszedł w przeszłość uzbroidła Lema wobec nazbyt szybkich recept uzdrowienia świata. Być może ona też stała się głównym powodem jego odejścia od realistycznego przedstawiania świata w kierunku powieści fantastyczno - naukowej. Po latach Stanisław Lem wrócił do koszmaru wojny w latach sześćdziesiątych w powieści *Głos pana*, w której przywołał obrazy masowych mordów na Żydach lwowskich, czego sam mógł być świadkiem. I znowu, podobnie jak w *Szpitalu przemienienia*, nawiązania do Holocaustu służą jedynie do ilustracji głębokiego sceptycyzmu w stosunku do europejskiego dziedzictwa. Tym razem w sposób wyraźny odnoszącego się do wszelkiego rodzaju religijnych wierzeń. Zrozumiałem też dlaczego sam Lem zwrócił mi uwagę na tę książkę, w której wyraził swoje poglądy na temat możliwości istnienia Bytu Transcendentnego. Nie miałem okazji porozmawiać z nim o moich wrażeniach z tej lektury, być może więc przyszła praca byłaby rodzajem spłacenia długu wdzięczności wobec tego wspaniałego człowieka, który jak o sobie mawiał, „nigdy nie oddał swego sumienia warendę”.

Jednym słowem uznanie zderzenia jako naturalnego stanu rzeczy prowadziło i prowadzi do utwierdzenia historycznie zaistniałych procesów. Tymczasem w XX wieku pojawiły się koncepcje pozwalające na odwrócenie istniejących podziałów i nawiązanie utraconej jedności. Jednym z najbardziej konsekwentnych głosicieli tej drogi byli właśnie Walter Ong i Stanisław Lem.

Stanisław Obirek



Z przedstawionych nam problemów

KIEROWNICTWO DUCHOWE LUDZKOŚCI

Redakcja „Pracy” zaproponowała mi ustosunkować się do przekonania naszych czytelników wyrażonego w ich wielowątkowym artykule dyskusyjnym w zeszycie 55. (s.18) zdaniem, że „*nie ma wielkich przywódców duchowych*”. To przekonanie można odnieść do proroków omawiających przyszłość, a w takim razie opinia o tym twierdzeniu dana już jest w zeszycie 57. „Pracy” (s.9), można jednak problem rozumieć jako pytanie o obecność w świecie wielkich wodzów kierujących pozytywnie losami zarówno jednostek ludzkich, jak narodów i całej ludzkości. Wtedy możemy przyznać, że dzisiejsi wielcy przywódcy narodów, to przeważnie typy ujemne: Stalin, Hitler, Mao Tse. Brak wielkich postaci pozytywnych takich jak Aleksander Wielki, który poniósł kulturę grecką do zakątków Azji i pokazywał jak humanitarnie postępować z pokonanymi wodzami i ludami. A jeśli myślimy o przywódcach religijnych, to nie mówiąc o Bogu Chrystusie, trzeba przyznać, że dawno nie było nikogo dającego się porównać z Mojżeszem, Pawłem z Tarsu, czy z Marcinem Lutrem.

Problem kierownictwa duchowego ludzkości związany jest ściśle z ewolucją istoty ludzkiej. Dawny człowiek, to człowiek Starego Testamentu, którym światy duchowe (zarówno duchy jasne jak i ciemne) mogły kierować od zewnątrz. Pomału człowiek dojrzywał do tego, aby być kierowany od wnętrza począwszy od samoświadomości doświadczonej przez jaźń, poprzez rozumową strukturę własnej duszy, poprzez jej naturę uczuciową, aż do czynów zewnętrznych. Cezurą jest tu krzyżowa ofiara Chrystusa, ale zmiana nie dokonała się nagle. Przemiany zapowiadały się już wcześniej i trwają dalej. Duchy ciemności starają się zahamować tę drogę ewolucyjną. Działają nadal przede wszystkim z zewnątrz, a jeśli się już zgadzają na wewnętrzne decyzje człowieka, to pragną aby to były decyzje samowolne, ale nie pochodzące z prawdziwie wolnych ideałów.

Można na przykład wykazać, że przez długie czasy wszystkie wielkie przemieszczenia ludów i wojny były podejmowane z zewnętrznych impulsów duchowych dawanych poszczególnym narodom przez archaniołów

jasnych lub ciemnych. Powiadają, że pierwszą zapisaną w historii wojną postanowioną z samowoli człowieka była dopiero wojna egipsko - asyryjska z bitwą pod Magedo (Megiddo) w roku 609 przed Chrystusem, do której bez żadnego powodu włączył się i w której poległ król judzki Jozjasz (IV Królewska 23:29).

Czasem jasne impulsy wewnętrzne były wypaczane przez popularne hasła zewnętrzne. Piękny wewnętrzny ideał zaopiekowania się religijnymi zabytkami Ziemi Świętej został wypaczony zewnętrznym wezwaniem do zbrojnego jej zagarnięcia. Pod tym zewnętrznym impulsem rzymskokatolicki krzyżowcy dokonali rabunków i potwornych zbrodni na muzułmanach. Żydach i prawosławnych chrześcijanach napadając i rabując okazyjnie po drodze również pomniejsze zamki rzymskokatolickie. Owoc tych wypraw odczuwamy do dziś w trwodze muzułmanów przed chrześcijanami i w ich nienawiści do chrześcijan, która wprawdzie nie istniała.

Można wykazać, że dziś jasne impulsy kierownicze ludzkości są impulsami wewnętrznymi, które dopiero przez oddanych im ludzi mogą utworzyć, zainicjować akcję zewnętrzną. Impulsy zaś zewnętrzne, wezwania i slogany to te wzywające do zachowań nacjonalistycznych i rewolucyjnych. Zwróćmy uwagę, że te ruchy na ogół zapowiadają zniesienie zła, przymusu, niewoli, zbrodni, zaś w praktyce właśnie prowadzą do zbrodni jeszcze gorszych niż te, przeciw którym występowały. Przykłady każdy potrafi sobie sam podać.

Więc nie oczekujmy wielkich wodzów zewnętrznych. Ich epoka minęła. Ma się jeszcze pojawić Antychryst, który w cudowny sposób będzie umiał podporządkować sobie narody i zaprowadzić na świecie „przymusową miłość”, pokój i posłuszeństwo tak wielkie, że nikt się nawet nie ośmieli pisać. Gdy przyjdzie, umiemy go rozpoznać i - choć to nie będzie łatwe - przeciwstawić się jego niewoli.

A tymczasem cieszymy się, że mamy tyle prawdziwie chrześcijańskich, żywych impulsów duchowych, które nam wskazują jak rozwijać duchową prawdziwie Chrystusową wolność wewnętrzną a jej owoce wcielać w życie.

St.F.



ZNAK KRZYŻA

Wyrok Trybunału w Strasburgu z listopada 2009 roku w sprawie krzyża wzbudził wiele emocji. W Polsce dyskutanci podzielili się – jak zwykle - na przeciwników tego wyroku, zwolenników i usiłujących znaleźć wyśrodkowane

rozwiązanie. Nie opowiadając się za żadnym dyskutowanym rozwiązaniem w tej materii, pragnę zwrócić uwagę, że dyskutanci pomijają esencję problemu.

Znana jest rola krzyża w chrześcijaństwie. Przez dwa tysiące lat pod tym znakiem krzewiono wiarę, ale i dokonywano zbrodni. Bardzo często zapomniano o przesłaniu jakie niesie krzyż i ofiara Jezusa Chrystusa na krzyżu, wykorzystując ten znak do realizacji przyziemnych i nieczystych interesów. Z bólem muszę przyznać, że obecnie niewiele się zmieniło. Przeprowadzono w Polsce przed 20 laty akcję zawieszania krzyży w miejscach użyteczności publicznej i na tym się skończyło. W wyniku tej akcji morale społeczeństwa nie wzrosło. Pod znakiem krzyża w wielu miejscach publicznych codziennie się przekracza Dziesięć Przykazań i to z nadstatkiem i nikt na to nie zwraca uwagi. Gdy zapadł wspomniany wyrok, zresztą nie wymierzony w znak krzyża, powstało ogromne oburzenie. Wyrok uznano w wielu przypadkach za obrazoburczy, antychrześcijański, naruszający prawo człowieka do wolności (różnych).

Pozwolę sobie zaprezentować Czytelnikom pewną daleką analogię do praktykowanej przed laty w Polsce akcji wieszania krzyża gdzie tylko można było. Zaznaczam - w swych wywodach nie mam zamiaru urażać niczyich przekonań, ale jedynie wskazać na określone mechanizmy. Oto przed wielu laty, w byłym ZSRR, centralnie zdecydowano aby zorać ugory. Akcja ta miała przynieść uniezależnienie się imperium od dostaw żywności z zagranicy. Wkrótce media doniosły o tysiącach zaoranych hektarów, szczególnie w azjatyckiej części byłego ZSRR. Gdy po latach nastąpił okres „pierestroiki i głośności”, podczas branżowego spotkania gospodarczego zapytałem w kuluarach przedstawicieli strony rosyjskiej, jakie ekonomiczne skutki przyniosła akcja zaorywania ugorów. Odpowiedziano mi, że niewielkie ponieważ centralnie nie wydano decyzji o dalszym postępowaniu z zaorany terenem. Czyli cała wielka i kosztowna akcja zakończyła się mizernymi skutkami, a może nawet przyniosła straty. Nie wiem, czy udzielono mi odpowiedzi prawdziwej; nie mogłem tego dokładnie sprawdzić. Ale wydarzenie i odpowiedź w tej sprawie zapadły mi w umyśle.

Akcję wieszania krzyży w Polsce przed laty oglądałem z lękiem. Nie była to akcja spontaniczna, ale kierowana. Protesty były nieliczne i słabe, ponieważ nikt nie miał odwagi wystąpić przeciw stojącemu za tą akcją duchowieństwu rzymskokatolickiemu. Arbitralność zwyciężyła tu nad rozsądkiem. Krzyże w wyniku tego działania zawisły często w przedziwnych miejscach, naruszających istotę tego znaku. Nie będę odkrywcy, gdy obruszę się na widok krzyża zawieszzonego w lokalu gastronomicznym podłej konduity, gdzie pod tym znakiem w dymie tytoniowym i przy alkoholu dzieją się rzeczy naruszające godność krzyża. Sądzę, dla przykładu, że nie tylko ja jestem zbulwersowany krzyżem wiszącym w Sejmie, w którym się dzieje tak wiele niechrześcijańskich spraw. Pominę tu urzędy i organizacje niższej rangi.

Uważam, że opisane dwie akcje „regulowane” centralnie mają wiele wspólnego, choć były inicjowane przez organizmy o różnej i przeciwstawnej ideologii. Obie akcje - moim zdaniem - były na pokaz. W byłym ZSRR miały wykazać troskę władz o wyżywienie obywateli, w Polsce - rolę Kościoła w państwie i społeczeństwie. To była forma. Za akcją wieszania krzyży bowiem nie poszła działalność misyjna Kościoła zmierzająca do naprawy społecznej. Sami zresztą funkcjonariusze kościelni dali złe przykłady w zakresie zachłanności materialnej. Krzyż zawieszano w miejscach określonych przez kler i na tym poprzestano. Dziś na pytanie co dalej z krzyżem w miejscu publicznym po wyroku strasburskim powiedziałbym - nauczmy społeczeństwo czym rzeczywiście jest krzyż i jak iść przez życie za tym znakiem. To jest prośba skierowana do duchownych wszystkich wyznań chrześcijańskich, do ludzi polityki i działaczy gospodarczych. Wiem, że to bardzo trudne zadanie i że łatwiej zawiesić krzyż w miejscu publicznym i osiąść na laurach pojąc się przekonaniem o właściwym zmanifestowaniu wiary, niż podjąć misję. Ale ważniejsze dla mnie jest by człowiek miał krzyż w sercu, a nie zawieszony na ścianie. Chyba warto wreszcie popatrzeć realnie na rolę krzyża w życiu publicznym. Nie bierzmy przykładu ze złych i odrzuconych praktyk.

brat Jerzy



DWA AFORYZMY

Kiedy się decydujesz tylko na wspomnienia, to znaczy, że rezygnujesz z życia.

Tylko ten, co nie kocha, może żyć samotnie

Honorata Korpikiewicz



* * *

*poznaj mnie
po zieleni mchów*

*glany jak czarne gnojowniki
toczą mnie lekko i wesoło
roztrącam ciepły wiatr
sosny przekazują mnie sobie
brzozy brzozom podają
rozmiękła droga zachowuje ślad traperów
w brunatnym torfie obok sarnich racic*

*niewidząca i niewidzialna
nie wiem uciekam czy gonię*

*nazwij mnie
pod granatowym niebem grudnia
w ostatnim dniu ciemności*

*opowiem ci
kim jest Kamień, Woda i Góra
choć wiesz to lepiej ode mnie*

*wybiegam z lasu ciężką i obolałą
jak po nieudanym locie*

*bez Ciebie nic
się nie da objaśnić*

29.12.07

Inga Trochimowicz



O BRACIE KAPŁANIE MARIII POLIKARPIE ZABORKU

WSPOMNIENIE

W poprzednim zeszycie „Pracy nad sobą” ukazało się wspomnienie siostry podpisanej skromnie inicjałami L. Z., jednej z osób z najbliższego otoczenia świętej pamięci brata kapłana Józefa Marii Polikarpa. Mówiło ono o nim przede wszystkim jako o człowieku pełnym wiary i miłości do ludzi. Tu pragnę owe wspomnienia uzupełnić ważnymi - jak sądzę - informacjami o jego zewnętrznej działalności. Warto o niej wspomnieć. Ludzi pocziwych jest sporo. Mniej jest takich którzy potrafią wpajać dobro w swoje otoczenie. Może się znajdą inni, co zechcą naśladować brata Polikarpa?

Urodzony 29 lipca 1924 roku w świadomej rodzinie mariawickiej w małej wiosce Stoczek koło Lublina jako jedno z trojga dzieci Józefa Zaborka i Agnieszki z Kowalczyków w 10 roku życia został osierocony przez ojca. Wobec wczesnej śmierci rodzeństwa był jedynym dzieckiem pomagającym matce w pracy. Zarazem skwapliwie się uczył. W czasach wojny ukończył okupacyjną Wyższą Szkołę Ogrodniczą (obecnie Zespół Szkół Rolniczych) w Kijanach. Wcielony do II Armii Wojska Polskiego i przeszedłszy jej cały szlak do cywila wrócił z czterema odznaczeniami bojowymi. W roku 1948 wstąpił do mariawickiego Seminarium Duchownego i po przyspieszonym jego ukończeniu (był wybitnym klerikiem) objął jako proboszcz parafię w Raszewie otrzymawszy 2 lutego 1950 roku święcenia kapłańskie w tamtejszym parafialnym kościele.

I w tej parafii i w następnej - Mińsku Mazowieckim okazał się świetnym misjonarzem. Chętnie rozmawiając z każdym o jego problemach i zawirowaniach życiowych, znając osobiste problemy swoich parafian przyciągał ludzi do prawdziwej pobożności i nabożeństwa, odnawiał zaniedbane cmentarne procesje zaduszne, a przede wszystkim adoracje eucharystyczne. Do mnie, jako do początkującego kaptana, zaproszonego przez niego na urlop do Raszewa w roku 1960 dotarła po raz pierwszy prawda, że praca kaptana przy ołtarzu niewiele da, jeśli nie będą jej towarzyszyły stała praca nad sobą i bliskie kontakty z ludźmi, a że z tymi ostatnimi zawsze było u mnie najgorzej, uczyłem się od niego jak to robić. Budził żywą wiarę wśród parafian. Chciał obudzić również wśród kaptanów - w nowych, istniejących warunkach - zapal pierwotnego mariawityzmu. Przeważnie go nie rozumiano. Albo uważano, że istniejące warunki zewnętrzne nie nadają się do pracy duchowej, albo usiłowano mimo zmienionych warunków zewnętrznych pielęgnować rzymskie formy zakonne z XIX wieku.

W jedenastym roku kaptania potoczył się węzłem małżeńskim z siostrą zakonną Józefą Wiktoria M. Dilektą Muchą, którą przy ówczesnych nieustalonych przepisach zakonnych przeniesiono w tym celu na pewien czas do stanu świeckiego. Stała się ona jego cenną towarzyszką życia, dając podstawę istnienia małżeństwa, podobnego do małżeństw zakonnych z czasów pierwszych lat reguły Świętego Franciszka, choć formalnie jej status zakonnicy-mężatki został ponownie uznany dopiero w 1979 roku. Pracowała z nim w kolejnych parafiach jako organistka, dyrygentka chóru, nieoceniona organizatorka spotkań parafialnych...

Gdy w latach sześćdziesiątych brat kaptan M. Wiesław Urbas stwierdziwszy, że pobudzenie do duchowej aktywności całego duchowieństwa mariawickiego jest tymczasem niemożliwe i skupił się na zorganizowaniu wokół siebie grupy kilku kaptanów tworząc zaczątek przyszłej odnowionej gałęzi Zgromadzenia Mariawitów¹, brat Polikarp natychmiast stał się

członkiem tego aktywnego duchowo grona. Aby nie dawać powodów do plotek i sensacji spotykaliśmy się systematycznie w dni adoracji miesięcznych, co nie budziło niczyjego zdziwienia. Odmawialiśmy przy tej okazji wspólnie brewiarz, koncelebrowali Mszę Świętą i studiowali sprawy ducha. Ciężka choroba, a potem śmierć brata Wiesława na pewien czas stłumiła naszą działalność.

Dotychczas wszystko to się działo w Starokatolickim Kościele Mariawitów, gdzie o Kościele Katolickim Mariawitów nie wypadało dobrze mówić ani myśleć. Ale brat Polikarp nie umiał o nikim myśleć źle. W jego życiu zdarzyło się kilka znaczących spotkań z duchowieństwem felicjanowskim, w tym spotkanie „przypadkowe” ale opatrnościowe z samym bratem arcybiskupem Rafaelem.

Marne warunki finansowe jakie są codziennym chlebem „zawodowych” kapłanów mariawitów, odbiły się na zdrowiu proboszcza w Mińsku Mazowieckim. Brat Polikarp zapadł na poważną chorobę krwi. Groziła zejściem w ciągu roku. Lekarze orzekli potrzebę intensywnego leczenia i zamieszkania w czystym wiejskim powietrzu. Brat Polikarp otrzymał w 1968 roku od Kościoła bezpłatny i bezterminowy urlop. Biorąc pod uwagę określony przez lekarzy stan zdrowia, w Kościele nie liczone na jego powrót do pracy.

W Stoczku istniała w jednym z walących się domów kaplica mariawicka. Obsługiwał ją dojeżdżający kapłan. Im rzadziej on przyjeżdżał, tym mniej osób czuło się związanych z kaplicą, a im mniej osób przychodziło na nabożeństwa, tym rzadziej chciał przyjeżdżać kapłan. Mariawityzm w Stoczku praktycznie zamarł. Brat Polikarp mając kościelny urlop, rozpoczął pracę dla utrzymania siebie, żony, rodziny i na potrzeby kuracji - na ile mu resztki zdrowia pozwalały. Przez rok był agronomem w sąsiedniej gminie, a potem pracował w Stoczku, w rodzicielskim gospodarstwie oraz jako instruktor uprawy tytoniu. Zaczął tam też systematycznie odprawiać nabożeństwa. Przeniósł je z rozwalającej się rudery (niedługo później rozebranej) do pokoju u swojej matki,

który w ciągu lat został wyłączony z funkcji mieszkalnych i stał się prawdziwą kaplicą, gdzie się pojawiło również tabernakulum z *Sanctissimum*. Nie mógł się powstrzymać od prowadzenia z sąsiadami rozmów o Dziele Miłosierdzia, o Mateczce, o Miłości Bożej urzeczywistnionej w Przenajświętszym Sakramencie... Wbrew opinii, że nie sposób być misjonarzem we własnej wsi, gromadził coraz większą liczbę i tych, co sobie przypomnieli, że kiedyś byli mariawitami i osób zupełnie nowych, którym otwierał oczy na świat ducha.

Już po kilku miesiącach pobytu na urlopie, gdy nieoczekiwanie pojawiły się pewne oznaki powracającego zdrowia, zgłosił się do Biskupa Naczelnego z propozycją częściowego powrotu do pracy kapłańskiej, przy zapewnieniu mu warunków dalszego leczenia. Otrzymał wtedy odpowiedź odmowną: wyleczyć się, a potem wrócić! Gdy po paru latach zdrowie pomatu wróciło do normy, zgłosił się do władz kościelnych z chęcią powrotu do pracy informując zarazem o zorganizowaniu przez siebie grona kilkudziesięciu osób w Stoczku. Ale Kościół chyba nie był zainteresowany jakąś nową, kłopotliwą wspólnotą stoczkowską mimo, że opiekę nad nią dałoby się połączyć z objęciem którejś z większych nawet parafii. Przymuszczalnie tym można wytłumaczyć fakt, że na wysyłane przez niego kolejne listy do władz Kościoła, ponawiające prośbę o przyjęcie go znów do oficjalnej pracy kapłańskiej nie otrzymywał w ogóle odpowiedzi. Nie widząc możliwości prowadzenia placówki kościelnej bez jakiejś kościelnej jurysdykcji, po ostatniej bezskutecznej próbie otrzymania jakiegokolwiek odpowiedzi z Płocka, zwrócił się do brata arcybiskupa M. Rafaela w Felicjanowie, zwierzchnika Kościoła Katolickiego Mariawitów. Został przez niego przyjęty i mianowany proboszczem nowo erygowanej 6 grudnia 1976 roku parafii tegoż Kościoła w Stoczku pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy z zezwoleniem na zachowanie w nabożeństwach obrządku „płockiego”. Była to pierwsza, a dziś jest jedną z dwu mariawickich placówek w Polsce, gdzie

wiernych nie dzieli się na „płockich” i „felicjanowskich”, ale każdego, kto stara się poznać i wypełniać objawienia Mateczki uważa się za mariawitę.

Było więc zrozumiałe, że gdy w roku 1979 - pobudzeni do działania przez dwie osoby z zewnątrz² - postanowiliśmy nadać byłej grupie brata Wiesława, status nowej gałęzi Zgromadzenia Mariawitów i uzyskaliśmy odpowiednie zezwolenia arcybiskupa Rafaela i biskupa naczelnego Tymoteusza, założycielską kapitułę odbyliśmy w nowej parafii brata Polikarpa. W czasie obrad pojawiły się obawy czy grupując wówczas ledwie kilkanaście osób mamy siłę stać się nową gałęzią Zgromadzenia. I wtedy brat Polikarp powiedział, że jest nas wprawdzie mało i nie jesteśmy w istocie godni podjąć się takiego dzieła, ale jeśli tego nie zrobimy, to będziemy winni, gdy za kilkadziesiąt lat Zgromadzenie Mariawitów przestanie istnieć, a jeśli się zdecydujemy działać, to Opatrzność nam pomoże. To była decydująca rada. Przyjęliśmy ją. I tak na kapitule odbytej 4 i 5 listopada 1979, za zgodą dotychczasowych przełożonych zakonnych, powstała nowa, rosnąca później liczebnie, żywa gałąź istniejącego od roku 1893 Zgromadzenia Mariawitów. Przyjęto dla niej najprostszą, a nie używaną dotąd przez żadną inną gałąź nazwę „Zgromadzenie Mariawitów”, zaś bratu M. Polikarpowi powierzono funkcję jej Wikariusza Generalnego, którą pełnił do śmierci. Przez wiele lat jemu - między innymi - bezpośrednio podlegała praca z członkami Związku Nieustającej Adoracji Ublagania nie należącymi do Zgromadzenia, lecz stanowiącymi jego otoczkę.

Historia parafii w Stoczku i Zgromadzenia, z którymi brat Polikarp ściśle związał swoje życie, wymagają osobnego omówienia i tam przyjdzie wielokrotnie wymieniać takie czy inne jego działania. Tu wspomnę tylko, że od roku 1993 oprócz Stoczka opiekował się jeszcze parafią w Goździe, gdzie wznowił zaniechaną od dawna procesję Bożego Ciała, w której biorą zgodny udział wierni z obu mariawickich denominacji, że pracując jako instruktor upraw wszędzie

głosił Dzieło Miłosierdzia, a pozyskiwał jego uczestników również wśród swoich zwierzchników, ba że wieść o Dziele Miłosierdzia przyjęli od niego ze zrozumieniem nawet sąsiedni księżą rzymscy, że wygłosił ongiś pamiętny odczyt na KUL-u, że również w czasie podróży służbowych, co dzień odprawiał Mszę Świętą - w czasach komunistycznych kilka razy w gabinecie sekretarza PZPR (sic!), że w 2001 roku został awansowany ze stopnia podporucznika na porucznika... Ech, dużo bytoby opowiadać!

Gdy Kościół Rzymskokatolicki organizował peregrynację kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej poprzez wioski, zapytano brata Polikarpa, czy przyjmie obraz u siebie. Mimo iż mariawici czczą Bogurodnicę przede wszystkim jako Niepokalanie Poczętą i pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, a nie mają szczególnego sentymentu do cudownych obrazów, bytoby czymś sprzecznym z nazwą *mariawity*, gdyby nie wziąć udziału w publicznym uczczeniu Bożej Rodzicielki. I tak „rzymskokatolicka” Matka Boska została wprowadzona do mariawickiej kaplicy, a przy obrazie odprawiono mariawicką Mszę Świętą, której wystuchała spora liczba i rzymskich katolików i mariawitów.

Może tylko jeszcze jedno wspomnienie. Nie pamiętam który był to rok, w każdym razie jeszcze przed objęciem metropolii lubelskiej przez arcybiskupa Życińskiego. Właśnie krążyły wieści że, ponieważ w mariawickich nabożeństwach w Stoczku biorą udział również rzymscy katolicy, na odpuszcie w parafialnym kościele w Kijanach proboszcz oficjalnie zabroni tego swoim parafianom. No cóż, miał prawo zabronić. Tymczasem na odpuszcie proboszcz dziękując wielu ludziom za ich ofiarność podziękował również Józefowi Zaborkowi za... organizację życia religijnego w Stoczku.

* * *

W ostatniej ciężkiej chorobie nowotworowej, przebywając od dnia 6 stycznia 2010 w szpitalu w Łęcznej,

przyjmując co dzień z rąk mariawickiego kapłana Komunię Świętą i modląc się, nie zaprzestał rozmawiać o Dziele Miłosierdzia z pacjentami, lekarzami i rzymskokatolickim kapelanem szpitala. Zmarł z modlitwą na ustach w obecności swojego syna i tegoż kapelana o godzinie 18, 17 stycznia 2010 roku.

Pogrzeb odbył się 21 stycznia. Zawiadomienia o dacie pogrzebu nie dotarły w porę do wszystkich. W prawdziwie ekumenicznej Mszy Świętej odprawionej w kaplicy parafialnej w Stoczku wraz z rzeszą ludzi żegnało osobiście swojego Wikariusza Generalnego tylko kilkunastu członków Zgromadzenia. W izbie przyległej do kaplicy w otwartej trumnie spoczywało ciało Zmarłego. Mszy Świętej - przy obecności kapłanów ludowych z Kościoła Katolickiego Mariawitów - przewodniczył brat M. Sławomir z Kościoła Starokatolickiego Mariawitów z Lublina, który poprosił o ten przywilej jako dawny uczeń Zmarłego z jego raszewskiej parafii. Lekcję czytał brat M. Jan, z parafii tegoż Kościoła w Mińsku Mazowieckim, Ewangelię - proboszcz polskokatolicki Kamil Wołyński z Lublina, mnie wypadło wygłosić naukę. Przed ołtarzem stali również przez cały czas nabożeństwa miejscowy proboszcz rzymskokatolicki i rzymskokatolicki szpitalny kapelan z Łęcznej urzeczony osobowością Zmarłego i jego stosunkiem do własnych cierpień i śmierci. Ze względu na przepisy swojego Kościoła nie mogli oni niestety koncelebrować, ani przyjąć wraz z pozostałymi Komunii Świętej.

Na cmentarz w odległych o 2 kilometry Kijanach mimo przejmującego mrozu i zasp śnieżnych kondukt pogrzebowy składający się z wielu dziesiątek pieszych (i sporej liczby samochodów) przy dźwiękach znakomitej orkiestry straży pożarnej z Łęcznej poprowadził brat M. Jan. Gdy kondukt się zbliżył do kościoła rzymskokatolickiego, niespodziewanie dla wielu rozdzwoniły się dzwony. Tak rzymskokatolicka parafia żegnała działającego na jej terytorium ekumenistę, kapłana Kościoła Katolickiego Mariawitów, wielkiego przez swoją cichość, który nigdy nie przestając być uczestnikiem i

głosicielem Dzieła Wielkiego Miłosierdzia, umiał nawiązać serdeczny, duchowy kontakt z każdym chrześcijaninem i nie tylko chrześcijaninem. Ktoś z wielkich myślicieli powiedział, że nie można być dobrym członkiem swojego wyznania nie będąc dobrym chrześcijaninem, a nie można być dobrym chrześcijaninem nie będąc dobrym człowiekiem. Brat Polikarp był dobrym mariawitą.

brat Paweł

¹ porównaj „Praca nad sobą” zeszyt 8, s. 12-15 (1998)

² bliżej o tym napisałem w „Pracy nad sobą” zeszyt 9, s.18-23 (1998)



MOJE VOTUM SEPARATUM

Zmobilizowany artykułami księży profesorów: Pawła Rudnickiego i Henryka Seweryniaka, przywołując „Tablicę chronologiczną rozwoju Dzieła Miłosierdzia”¹, zdecydowałem się na zabranie głosu w sprawie odpisów tekstów Objawień Feliksi Kozłowskiej. Ks. Seweryniak, stwierdzając różnicę między odpisami doręczonymi przez mariawitów biskupowi Szembekowi i papieżowi, zostawia otwartą kwestię ustalenia winnego manipulacji w odpisie Objawień podobno sporządzonym przez księdza Gołębiowskiego dla biskupa Szembeka. Dla odmiany ksiądz Rudnicki, potwierdzając rozbieżności między wymienionymi tekstami odpisów Objawień, domyśla się jakiejś formy umowy dżentelmeńskiej między mariawitami i bpem Szembekiem co do zmiany w treści odpisu Objawień dokonanej przez Księdza Gołębiowskiego, która to umowa obróciła się przeciw mariawitom. Mając na uwadze wywody księży profesorów i nie godząc się z nimi wejść w rolę „adwokata diabła” odwołując się do swej skromnej wiedzy i praktyki. W celu uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że z wymienianym w artykule księdzem Gołębiowskim łączę tylko tożsamość nazwiska.

Z przytoczonej „Tablicy chronologicznej” wynika, że możemy doliczyć się dwóch (nie licząc notatek sprzed 1894 roku) wersji Objawień spisanych własnoręcznie przez F.Kozłowską: z 1894 roku -

wersja tak zwana honoracka i z grudnia 1902 r. Wersji honorackiej nie znamy. Objawienia spisane w 1894 r zostały w oryginale (w książeczce) przekazane ojcu Honoratowi. Wersja „honoracka” miała zaginać², choć mam pewne, uzasadnione wątpliwości w tej materii. Podobno tekst ten był przedmiotem badań w czasie procesu kanonicznego ojca Honorata sprzed kilku laty. Analiza treści „Tablicy chronologicznej” wykazuje, że istniała ponadto nieokreślona ilość nieoficjalnych odpisów Objawień sporządzanych w różnych latach przez różnych ludzi. Odpisy te w większości znajdowały się w rękach duchownych związanych z diecezją płocką. Zajmijmy się wersją Objawień z 1902 roku. Jak wynika z „Tablicy chronologicznej” Mateczka pisała tekst Objawień w Lublinie, a przepisywali go na bieżąco księża: Kowalski i Próchniewski. Wiemy, że lubelski biskup Jaczewski nie przyjął od księdza Próchniewskiego odpisu Objawień. Nie wiemy, co się z tym odpisem stało. Ksiądz Kowalski w styczniu 1903 roku, zastępczo (w miejsce arcybiskupa Popiela) doręczył odpis Objawień warszawskiemu biskupowi pomocniczemu Ruszkiewiczowi. Nieznany jest też los tego tekstu. Ksiądz Gołębiowski w styczniu 1903 roku doręczył tekst biskupowi Szembekowi w Płocku. W trakcie procesu inkwizycyjnego w maju 1903 roku w Płocku ksiądz Gołębiowski składa oświadczenie, że odpis wręczony biskupowi Szembekowi sporządził właśnie on. Odpis ten nastęrczył wiele kłopotu obu Księżom Profesorom. Uważam wobec podnoszonych przez obu księży wątpliwości, że jedynym dowodem na autorstwo odpisu sporządzonego przez księdza Gołębiowskiego byłaby ekspertyza grafologiczna rzymskiego oryginału. Nie uważam to za niemożliwe. Oryginał odpisu Objawień jest w Rzymie, a próbki pisma księdza Gołębiowskiego są w posiadaniu mariawitów. Zastrzegam - ekspert winien być niezależny i znający się na kaligrafii. Wobec rozbieżności w tekstach odpisów Objawień nasuwa mi się pewna hipoteza. Mateczka spisywała Objawienia w grudniu 1902 roku w Lublinie. Odpisy sporządzone przez księży Kowalskiego (z Warszawy) i Próchniewskiego (z Lublina) posłużyły jako dokumentacja przeznaczona dla arcybiskupa warszawskiego i biskupa lubelskiego. Mateczka prawdopodobnie w początku 1903 roku wróciła do Płocka i wobec konieczności doręczenia biskupowi Szembekowi odpisu Objawień prosiła księdza Gołębiowskiego o sporządzenie tegoż. Na polecenie Mateczki ksiądz Gołębiowski złożył sporządzony przez siebie odpis biskupowi Szembekowi w dniu 8.1.1903. Odrzucam tezę profesora Rudnickiego o możliwości

umawiania się biskupa Szembeka z księdzem Gołębiowskim co do treści odpisu. Tego rodzaju umowy świadczyłyby o możliwości dotarcia księdza Gołębiowskiego do biskupa Szembeka w każdym czasie, a tak nie było. Nie można też zarzucić księdzu Gołębiowskiemu, że "spiskował" z biskupem Szembekiem, a przy przepisywaniu Objawień dopuścił się pomyłek i opuszczeń. Ksiądz Gołębiowski na pewno odpis sporządził z dołożeniem staranności. Ksiądz Seweryniak utrzymuje, że to właśnie odpis sporządzony przez księdza Gołębiowskiego, różny od tekstu z czerwca 1903 roku uznany przez Mateczkę i księdza Gołębiowskiego za zgodny z oryginałem, był tłumaczony przez płockich kurialistów i stanowił podstawę do wydania dekretu z 1904 roku odmawiającego mariawitom uznania kościelnego. Przyjmuję oświadczenia Mateczki i księdza Gołębiowskiego w trakcie płockiego procesu inkwizycyjnego za rzeczywiste. Wobec tego należy rozważyć okoliczności, które spowodowały, że odpisy Objawień z grudnia 1902 i czerwca 1903 roku mogły różnić się między sobą. Uważam za konieczne zbadanie, czy mimo zniszczeń spowodowanych przez II wojnę światową w archiwum archidiecezji warszawskiej, szczególnie w spuściźnie po biskupie Ruszkiewicz, nie zachował się odpis Objawień doręczony temu biskupowi przez księdza Kowalskiego w styczniu 1903 roku. Odkrycie tego tekstu pozwoliłoby na konfrontację z tekstem znajdującym się w aktach Kongregacji Nauki Wiary. Gdyby odpis doręczony biskupowi Ruszkiewiczowi różnił się od odpisu sporządzonego przez księdza Gołębiowskiego, sprawa wymagałaby dodatkowych badań. Podnoszę jednak inną ważną okoliczność. Będzie to wyłącznie moja hipoteza. Zechcą mi wybaczyć obaj księża profesorowie oraz Czytelnicy, ale nie są dla mnie przekonujące procesowe oświadczenia Mateczki i księdza Gołębiowskiego złożone podczas przesłuchania przez biskupa Szembeka w 1903 roku, że okazany im przez władze kościelne płockie odpis Objawień jest rzeczywiście odpisem tekstu napisanego przez Mateczkę, a przepisanego przez księdza Gołębiowskiego. Nie przekonują mnie nawet oświadczenia Feliksi Kozłowskiej i księdza Gołębiowskiego, że tekst odpisu zaczynający się od wyrazów: „Wszystko na większą chwałę..” i kończący się wyrazami: "...o czym sami zaświadczą” jest rzeczywiście tekstem Mateczki odpisanym przez księdza Gołębiowskiego. Dodatkowe oświadczenie Mateczki przywołane przez księdza Seweryniaka, że odpis sporządzony obustronnie na 45 ponumerowanych kartkach jest równoznaczny z

Jej rękopisem też mi nie wystarcza. Z protokołu procesowych przesłuchań Mateczki wynika, że biskup Szembek OKAZAŁ przesłuchiwanym tekst - książeczkę bez możliwości sprawdzenia jego dokładnej treści. Przekonywujące byłoby, gdyby Mateczka i ksiądz Gołębiowski mieli czas na zapoznanie się szczegółowo z treścią tej książeczki (kartka po kartce) i wtedy złożyli oświadczenie, że rzeczywiście jest to odpis tekstu sporządzony przez księdza Gołębiowskiego. Innym argumentem za przyjęciem omawianego tekstu za bezsporny byłoby poświadczenie (parafowanie) każdej strony książeczki przez Mateczkę lub księdza Gołębiowskiego (analogicznie jak poświadczali protokół płockich, biskupich przesłuchań). Jeśli w swej naiwności mariawici jednie ponumerowali strony odpisu, to okoliczność ta też nie jest dowodem na wierność odpisu z oryginałem. Osobom, które mogłyby źle zrozumieć moje zastrzeżenie co do wiarygodności wspomnianych oświadczeń Mateczki i księdza Gołębiowskiego, wyjaśniam, że jako mariawicie nie jest mi obojętna żadna wypowiedź Jej i księdza Gołębiowskiego. Treści oświadczenia Mateczki i księdza Gołębiowskiego nie podważam. Jednak w tym momencie - odwołując się do posiadanej wiedzy praktycznej - muszę podkreślić, że wybieg zastosowany przez bpa Szembeka, wymagającego poświadczenia faktu na zasadach ogólnych, jest znanym, pospolitym chwytem polegającym na zasugerowaniu osobie pewnych zdarzeń; nawet treści oświadczenia woli. Znale są przypadki sugerowania jednej ze stron przez sąd lub innych uczestników procesu treści odpowiedzi. Szczególnie, gdy mamy do czynienia z uczestnikami procesu zestresowanymi samym uczestnictwem w postępowaniu. Wtedy istnieje możliwość narzucenia przez pytającego swej woli uczestnikowi postępowania. Analogicznie znaczenie ma - bez sprawdzenia - oświadczenie osoby zainteresowanej, że prezentowany przez sąd dokument zaczyna się i kończy określonymi wyrazami. Osoba pytana może w tym momencie nie pamiętać szczegółów. Nikt nie może udowodnić bez badania grafologicznego, że przedstawiony podczas procesu odpis Objawień Mateczce i księdzu Gołębiowskiemu przez biskupa Szembeka był lub nie był sfałszowany. Równocześnie opisane oświadczenie Mateczki musi być poddane ocenie. Pamiętajmy, że Mateczka jako zakonnica, związana ślubem postuszeństwa wobec przetożonych (a przetożonym był dla niej biskup Szembek), mogła nie dopuścić myśli, że w momencie składania wyżej wymienionego oświadczenia mogła być manipulowana. Co więcej, w atmosferze procesu i określonych

przeżyć psychicznych Mateczka czuła ciężar gatunkowy zarzutu. Przypominam - Mateczka była przesłuchiwana w trybie inkwizycyjnym przez biskupa płockiego i proces zaczął się od złożenia przez Mateczkę wyznania wiary. Mateczka była dla sądu biskupiego domniemaną heretyczką. Już ten fakt musiał na Feliksie Kozłowskiej wywrzeć negatywne wrażenie. Z późniejszego opisu procesu wynika, że Mateczka przeżyła boleśnie w swej psychice przebieg przesłuchania. Nadto w Jej myśli nie powstała zapewne wątpliwość, że okazany tekst mógł być ewentualnie manipulowany. Zapewne ufała swemu biskupowi diecezjalnemu. Mogła nawet nie rozważyć możliwości wglądu w okazywany jej dokument. Przypominam, przed kodyfikacją prawa kanonicznego w 1917 roku uważano, że na obraz i podobieństwo Boga stworzony był tylko mężczyzna. Wobec tego rola kobiety w postępowaniu inkwizycyjnym była wypadkową takiego poglądu. Potwierdzeniem tej tezy będą: sekowanie mariawitów nie na podstawie wyroku inkwizycyjnego z 1904 roku, lecz treści prywatnego listu kardynała Vanutellego do biskupa Szembeka oraz naruszające reguły prawa i przyzwoitości postępowania księży Bornińskiego i Nowowiejskiego w stosunku do Mateczki i siostr mariawitek przy wykonywaniu postanowienia aktu inkwizycyjnego z 1904 roku. Analogicznie oceniam wagę powołanego procesowego oświadczenia księdza Gołębiowskiego. Zechce wybaczyć mi ksiądz Seweryniak, ale dodatkowo podnoszony argument o „doszyciu książeczki” zawierającej odpis objawień do inkwizycyjnych protokołów procesowych o niczym nie świadczy. Wszywanie i wypruwanie bezśladowe dokumentów z akt sądowych, gubienie ich i niszczenie nie jest sprawą nieznaną w sądach, nawet kościelnych. Poza tym nie możemy wykluczyć, że do akt watykańskich nie dosztyto wyżej wymienionego tekstu honorackiego, który pisany w 1894 roku mógł odbiegać w szczegółach od tekstu późniejszego. Nie można też odrzucić kolejnej hipotezy, że dosztytem do akt watykańskich jest jeden ze wspomnianych prywatnych odpisów objawień sporządzanych przed 1902 rokiem przez różne osoby. Ukształtowanie tego tekstu na wzór dostarczonego przez księdza Gołębiowskiego (format, ilość stron, treści pierwszej i ostatniej strony i tym podobne). To tylko zabieg techniczny, niezbyt trudny i możliwy.

Zdaję sobie sprawę, że procesy inkwizycyjne zmierzały do szybkiego zakończenia bez dłożenia starań o wyświechtanie prawdy. Dlatego materiał dowodowy w każdej sprawie, w tym i

mariawickiej, został ograniczony do dowodów nadesłanych z Polski, szczególnie dowodów płockich. Wgłębiając się w całość zagadnienia nie można przeczyć faktu, że w pół roku po złożeniu odpisu Objawień biskupom polskim, mariawici swoje łacińskie tłumaczenie Objawień złożyli papieżowi Piusowi X. Ksiądz Seweryniak potwierdza, że w aktach inkwizycji znalazł tekst doręczony Piusowi X przez mariawitów. Powstaje w tym miejscu ważna wątpliwość. Jeżeli w trakcie postępowania inkwizycyjnego w Rzymie stwierdzono dwa, różniące się ze sobą teksty Objawień Mateczki, dlaczego sędziowie przeszli do porządku nad tą rozbieżnością?! Bulwersuje mnie, że dokument przekazany inkwizycji przez papieża nie był przez nią oceniany. Dla mnie, nie obeznanego z praktyką kurii watykańskiej, rzecz trudna do wyjaśnienia i usprawiedliwienia. Nie może być uzasadnieniem takiej decyzji okoliczność, że dokument nie pochodził od papieża, a jedynie był przez niego przekazany inkwizycji watykańskiej. Czyżby obecność biskupa Szembeka w Rzymie w sierpniu 1903 roku zważyła na zawartości akt w sprawie mariawickiej i ich ocenie przez inkwizycję? W moim przekonaniu wyjazd biskupa Szembeka do Rzymu w 1903 roku w czasie, gdy przebywali tam mariawici, nie jest przypadkowy. Należy pamiętać, że mariawici doręczyli odpis Objawień ważnej osobistości watykańskiej - kardynałowi Vives y Tuto, a także prowadzili rozmowy wyjaśniające z innym kurialistami za Spizową Bramą. Powodowałyby to konieczność kolejnego uzupełnienia inkwizycyjnego materiału dowodowego. Mariawickie uzupełnienia mogłyby podważyć materiał nadesłany przez kurię płocką. Pominęto je, aby ograniczyć się do wąskiej, płocko-kurialnej bazy materiałowej i zakończyć sprawę zgodnie z intencją biskupa Szembeka. Nie bez znaczenia są zapisy pamiętnikarskie księży Próchniewskiego i Gołębiowskiego o dwulicowości biskupa Szembeka w sprawie mariawitów. Ponadto brak uzasadnienia, aby watykańska inkwizycja w tym czasie poważnie traktowała Objawienia kobiety i to z prowincjonalnego Płocka. Wydaje mi się, że przed badaczami pragnącymi rzeczywiście wyjaśnić ewentualne rozbieżności w tekstach odpisów Objawień Mateczki otwiera się długa jeszcze droga poznawcza.

Ze swej strony wskazywałbym na konieczność zbadania dokumentacji pozostawionej przez księży ówczesnie działających w płockim seminarium i kurii płockiej, a mianowicie (wymieniam w kolejności alfabetycznej): Bornińskiego, Laskowskiego, Petrykowskiego, Nowowiejskiego, Smolińskiego, Szelażka i Zaremby. Wykluczyć ich

udziału w manipulacji tekstem Objawień nie mogę; nie należeli bowiem do przyjaciół mariawityzmu i księży mariawitów. Może „między wierszami” w ich dokumentacji znajdziemy wskazówki pomocne do wyjaśnienia opisanej sprawy. Z tak zwanej „ostrożności procesowej” i w celu dotarcia do prawdy, szukać warto. Nie wierzę, że Mateczka wyraziłaby zgodę na zmiany w tekście Jej Objawień, a ksiądz Gołębiowski mógł takie zmiany sugerować. Wszelkie ingerencje w tekst Objawień, dla osób które wierzyły w ich Boskość, byłyby nie do pomyślenia. Poza tym jak bardzo nierzetelnie wyglądałoby mariawici gdyby uznać, że doręczyli biskupom polskim różne teksty Objawień (inny w Warszawie, a inny w Płocku). Dowolności, ani tak zwanej taktyki tu nie mogło być, ponieważ ksiądz Gołębiowski doręczając tekst biskupowi Szembekowi nie wiedział, że biskup Jaczewski tekstu nie przyjął, a tekst przeznaczony dla arcybiskupa Popiela znalazł się w rękach biskupa Ruszkiewicza. Problem rzetelności odpisów Objawień to kwestia główna i od tego należy zacząć badania całej sprawy.

Stawomir Gołębiowski

¹ brat Paweł - *Falszerstwo tekstu <<Początek zawiązku zgromadzenia kapłanów>>*, „Praca nad Sobą” zeszyt 51 s. 26-31; Henryk Seweryniak - *Sprawa manipulacji w tekście <<Początku zawiązku...>> w świetle archiwaliów przechowywanych w Kongregacji Nauki i Wiary*, „Praca nad Sobą” zeszyt 53 s.18-20., brat Paweł – *Zbliżamy się do odkrycia prawdy historycznej* - „Praca nad Sobą” zeszyt 55 str.26-32, *Tablica chronologiczna rozwoju Dzieła Miłosierdzia wewnątrz Kościoła Rzymskokatolickiego*, „Praca nad Sobą”, zeszyt 54 s.22 -31.

² Autor stosuje tu swoją własną terminologię, która może być dla wielu myląca. Tekstem honorackim (tym z roku 1894) nazywa tu autor księgę objawień Mateczki publikowaną od roku 1922 jako *pierwotny tekst objawień Mateczki*. Zdanie „Wersja Honoracka miała zagać” dotyczyć może tylko jej autografu. Sam tekst jest dokładnie znany z odpisów i publikacji drukiem. Mylące może być tu również użycie rzeczownika „książeczka”. W dotychczasowych publikacjach mariawickich pod nazwą *Książeczka* (pisaną z wielkiej litery) rozumie się tradycyjnie pierwszy zapis objawień Mateczki z roku 1893, którego autograf został zagubiony lub zniszczony, a odpisy nie są znane. (przypisek redakcji).



DWIE DROGI !

Artykuł brata Pawła o pierwszej regule Świętego Franciszka, jaki się w końcu roku 2009 ukazał w „Mariawicie”¹ skłonił mnie do przemyśleń. Uznałem, że treścią tych rozważań i wnioskami z nich płynącymi warto się podzielić z Czytelnikami „Pracy na sobą”.

Franciszek z Asyżu to postać w chrześcijaństwie, nie tylko zachodnim, znacząca. Syn bogatego kupca asyjskiego, nieźle jak na ówczesne czasy wykształcony, młodzieniec z elit społecznych rodzinnego miasta, człowiek przed którym rysowała się świecka kariera, „porażony” słowem Boga zmienił się całkowicie. Stał się biedaczyną- z dnia na dzień - w dosłownym znaczeniu tego słowa. Porzucił dotychczasowe życie rezygnując ze świeckiej kariery, oddał się całkowicie głoszeniu i praktykowaniu słów Ewangelii oraz działaniu zmierzającemu do naprawy Kościoła. Starając się o oficjalną aprobatę dla swych reform w Kościele dotarł do papieża Innocentego III. Podczas papieskiej audiencji stanęli przed sobą: majestatyczny hierarcha przesiąknięty zakonną, pesymistyczną duchowością średniowieczną i niewielki wzrostem laik - biedaczyna niechlujnie ubrany, może nawet odrażający dla rzymskiej elity, ale przesiąknięty miłością do każdego stworzenia. W pierwszym odruchu papież nakazuje nawiedzonemu świniopasowi (jak sądził) wrócić do zajęć przy stadzie świń. Kolejne spotkania papieża i asyjskiego biedaczyny mają już inny przebieg. Franciszek popierany przez biskupów Wita i Gwidona oraz kardynała Jana nawiązuje kontakt intelektualny z papieżem. Jak piszą znawcy epoki, obu łączyły: muzykalność, łagodny tembr głosu, poczucie humoru i umiejętności oratorskie. Obaj mieli zdolności poetyckie. Te cechy świadczące o zaawansowaniu intelektualnym Franciszka przykuły uwagę hierarchy. Surowość reguły przedstawionej przez świętego Franciszka przeraziła jednak papieża. Życie w pełnej zgodności z Ewangelią wydawało się papieżowi szaleństwem. Takie zasady były niezyciowe i niemożliwe do przyjęcia przez Rzym. Sprawę przesądził głos kardynała Jana stwierdzającego: „jeśli odrzucimy prośbę tego biedaka pod podobnym pretekstem, czy nie będzie to wyznaniem, że Ewangelii nie sposób urzeczywistnić i zniewagą dla Chrystusa, jej Autora?” Papież poruszony argumentem, ale nie przekonany do zasad franciszkańskich, podobno pod wpływem wieszczego snu, zatwierdził

zakon franciszkański. Od tego momentu Franciszek z Asyżu nie musiał się lękać zarzutu „herezji” osaczającej Kościół. Zaczął rzeczywiście odbudowywać Kościół nie jako budowlę materialną, ale jako byt odpowiedzialny za głoszenie Dobrej Nowiny w świecie.



W niespełna 700 lat po tych wydarzeniach przed papieżem Piusem X stanęła kobieta - mieszkanka niewielkiego miasta gubernialnego Płocka z zachodnich kresów cesarstwa rosyjskiego - Feliksa Magdalena Kozłowska (Maria Franciszka w zakonie). W niemowlęctwie osierocona przez ojca - powstańca, więc półsierota, ze zubożałej polskiej szlachty, znająca szarość codziennego życia, żyjąca z pracy rąk własnych, wykształcona na tyle, na ile w tym czasie w „priwislinskim kraju” pozwalano się uczyć kobiecie. Była zakonnicą ukrytego zgromadzenia honorackiego, wychowaną w dawnej formacji duchowej i posłuszeństwie dla władzy kościelnej, a tę sprawowali wyłącznie mężczyźni. Miała zleconą misję od Boga. Nie miała poparcia hierarchii polskiej, a jedynie wsparcie niewielkiej grupy księży, którzy zawierzyli Jej objawieniom i posłannictwu. Ci księża mimo wielu walorów duchowych i intelektualnych niewiele znaczyli w Kościele. W godzinie próby zawiódł także dotychczasowy ojciec duchowy - ojciec Honorat. Ugiął się przed naciskiem władzy kościelnej i postawił ją wyżej niż prawdę. Hierarchowie polscy powiadomieni o treści objawień Marii Franciszki dystansowali się od nich. Lubelski biskup Jaczewski zastąpił się chorobami, wiekiem i lękiem przed rosyjskimi prześladowaniami. Arcybiskup warszawski Popiel, zdzieciniały w tym czasie sybaryta, arystokrata dystansujący się od niższych sfer, uznał się za niewłaściwego do zajęcia stanowiska w sprawie objawień. Inny arystokrata, pilnie wspinający się po szczeblach kariery kościelnej płocki biskup baron Szembek, okazał się w praktyce tym, który przyczynił się najbardziej do odrzucenia objawień Marii Franciszki przez Rzym. Lojalnie, do czasu, zachował się jedynie kielecki biskup Kuliński widzący w działalności mariawickiej korzyści dla Kościoła, ale i on w wyniku decyzji papieskich musiał przejść na wrogie mariawityzmowi pozycje. Feliksa Kozłowska i mariawici także docierali w swych staraniach o legalizację kościelną do hierarchów rzymskich. Starania te nie przyniosły pozytywnych rezultatów choć ustawy mariawickie opierały się na regułach

świętego Franciszka przecież już w istniejącej wersji uznanych przez papiestwo .

Po stronie przeciwnej Marii Franciszki stanął bowiem nowo wybrany dość przypadkowo (sierpień 1903) papież Pius X. Duchowny o przeciętnej inteligencji, bez specjalizacji w teologii i europejskich horyzontów, nieufny w stosunku do ludzi, otaczający się także doradcami swego pokroju i zarazem niewysokich lotów. Pragnąc poprawy życia kościelnego Pius X działał nieco na oślep. Jak to określa rzymskokatolicki historyk kościelny - hamował to co złe, ale niweczył przy okazji i wysiłki pozytywne. Nie był człowiekiem dialogu, lecz formalistą.

* * *

Dwie analogiczne drogi i dwie krańcowo różne decyzje papieskie w podobnej sprawie. Zastanawiające dlaczego tak się stało?! Oceńmy główne postacie uczestniczące w tych zdarzeniach.

Innocenty III i Pius X to osoby diametralnie różniące się duchowo i intelektualnie. Papież Innocenty był na swe czasy intelektualistą, człowiekiem ducha, politykiem. Pius X to raczej osobowość zamknięta, konserwatywna. Brak mu było zrozumienia świata i szerszych horyzontów intelektualnych. Innocenty III potrafił ostatecznie nawiązać porozumienie z asyjskim Franciszkiem czy to na zasadzie podobnych zainteresowań intelektualnych, czy też zrozumienia konieczności reformy kościelnej. W czasach Innocentego III chrześcijaństwo europejskie wstrząsane było ruchami tak zwanymi „heretyckimi” i możliwe, że w ruchu franciszkańskim papież zauważył ratunek dla upadającego Kościoła. Może ugiął się przed obawą, że odrzucając franciszkanizm uzna, że nie można żyć duchem Ewangelii w praktyce. Pius X także zmagął się z postępującą laicyzacją w Europie, z krytyką związaną z upadkiem moralnym duchowieństwa. Pius X nie uznał za realną możliwość naprawy, której drogę proponowała Maria Franciszka. Poza tym przy Piusie X nie stali hierarchowie pokroju biskupów Wita i Gwidona, ani kardynała

Jana, którzy zwróciliby mu uwagę, przy zamiarze odrzucenia Objawień Marii Franciszki, na możliwość podważenia idei głoszonej w Ewangeliach. Hierarchowie z otoczenia Piusa X (na przykład Mery del Val, czy Vives y Tutto) nie byli formatu prezentowanego przez przybocznych Innocentego III. Święty Franciszek spotykał także na swej drodze lokalnych przedstawicieli kleru, którzy uznawali za słuszne działania franciszkańskie. Lokalni hierarchowie polscy z przetomu XIX i XX wieku, którzy poznali i odrzucili Dzieło objawione Mateczce nie należeli do światłych duchownych, którzy w historii Kościoła prowincji polskiej odegraliby jakąś ważniejszą rolę. Także ówcześni polscy kurialiści średniego szczebla byli bardziej zainteresowani swymi karierami kościelnymi i świeckimi, niż interesem Kościoła. Niektórzy z nich nawet osiągnęli później szczyty lokalnych karier kościelnych lub świeckich. Zwróćmy też uwagę, że Innocenty III prowadził rozmowy z mężczyzną, może dziwakiem według popularnej klasyfikacji, ale podmiotem prawa kanonicznego jakim był mężczyzna. Pius X miał przed sobą kobietę, pokorną zakonnice i to Polkę. Kobieta nie miała praw równych mężczyźnie. Kobieta do dziś „milczy w Kościele”, więc trudno wymagać, aby Pius X miał dotożyć staranności przy ocenie dokumentacji złożonej przez Marię Franciszkę. Pius X zlekceważył ją - kobietę, odrzucił możliwość dialogu z nią i uznając, że ma ona wskazane miejsce w Kościele sięgnął po najwyższą karę kanoniczną. W konsekwencji nie tylko odrzucił Dzieło Wielkiego Miłosierdzia, ale naraził polską prowincję kościelną na wstrząsy organizacyjne i ideologiczne. Jakby na ironię został potem wyniesiony na ołtarze .

brat Wiktor

¹ brat Paweł, *Pierwsza reguła św. Franciszka*, „Mariawita” # 10-12. s.7-9 (2009)



DO NASZYCH PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW

Niestety ostatnio staliśmy się niesłowni. Najpierw oświadczyliśmy Wam, że będziemy wydawać tylko cztery zeszyty naszego aperiodyku rocznie. Potem przeprosiliśmy za wyjątek, że musieliśmy w jednym roku wydać aż pięć, bo się nagromadziło niespodziewanie dużo materiału, aleśmy obiecali, że w przyszłych latach będzie już normalnie, to znaczy po cztery. Teraz w czerwcu wydajemy już trzeci zeszyt tegoroczny i nie jesteśmy w stanie obiecać, że przy obecnym tempie napływu materiałów uda się nam do końca roku wszystko zmieścić tylko w jeszcze jednym zeszycie. Wolimy już niczego nie obiecywać. Może zresztą nadejdą czasy „posuchy”, gdy wydamy w roku ledwie trzy lub dwa zeszyty? Dlatego zresztą od początku nie jesteśmy periodykiem, lecz aperiodykiem aby nie musieć wydawać pisma wtedy, gdy nie ma niczego istotnego do opowiedzenia światu, a za to móc wydawać częściej gdy jest więcej materiałów. Ale rozumiemy, że jest to niemiłym zaskoczeniem dla każdego, gdy za dany rok prenumerata wynosi więcej niż zwykle. Jak zawsze będziemy dołączali do ostatniego opłaconego zeszytu przypomnienie o potrzebie odnowienia prenumeraty, ale też każdy kto nam napisze, że ma problemy finansowe, może uzyskać przez odpowiedni okres czasu prenumeratę bezpłatną.

Zwłaszcza wtedy, gdy nasze przypomnienie o potrzebie odnowienia opłat przychodzi w związku z wydaniem dodatkowego zeszytu w danym roku, wysłanie prośby o prenumeratę darmową, zamiast właściwej sumy na prenumeratę będzie przez nas przyjęte z pełnym zrozumieniem.

Nie mniej dziękujemy Tym Wszystkim którzy prenumeratę mogą i chcą opłacać regularnie, oraz Tym, którzy ofiarowali dodatkowe sumy, dzięki którym mogliśmy wydać kilka zeszytów o objętości powyżej 32 stron, co między innymi też pomaga w zmniejszeniu liczby zeszytów wydanych w danym roku.

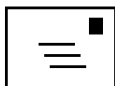
Zauważyliśmy, że naszych czytelników można podzielić na dwie grupy. Jedna to ci, których interesują przede wszystkim ogólnoludzkie sprawy duchowe, zaś mariawityzm jako taki jest interesujący tylko o tyle, o ile - będąc wykwitem aktualnych impulsów religijnych - tymi sprawami się zajmuje. Drugi przeciwnie są przede wszystkim zainteresowani sprawami wewnętrznymi ruchu mariawickiego, jego historią, jego współczesnymi organizacyjnymi trudnościami, propozycjami ich rozwiązania... Dlatego od pewnego czasu staramy się dla łatwiejszego odnajdywania tego, co kogo interesuje, na początku każdego zeszytu umieszczać materiały ogólne o pracy

nad sobą, sprawach duchowych i ogólnokulturowych, zaś w drugiej części materiały wewnętrzne, mariawickie.

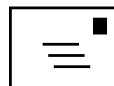
Będziemy wdzięczni za sugestie co jeszcze można ulepszyć w zewnętrznym układzie naszego pisma.

O ilustracjach i kolorze myślimy. Tymczasemśmy funduszków na to nie wymyślili.

Redakcja



LISTY DO REDAKCJI



„JESATEM ZA A NAWET PRZECIW”

Mimo, że wypowiedź Jana Jasnorzewskiego *Cóż da takie grzebanie* ukazała się rok temu („Praca nad sobą”, zeszyt 56. s.19) do dziś niepokoi mnie jej treść i przyszło mi na myśl powiedzenie prezydenta Lecha Wałęsy – „jestem za, a nawet przeciw”.

Zaprezentowany przez Autora ogromny skrót historyczny i wnioski całkowicie mnie przekonały. Jeśli rozważyć historię Kościoła i zamknąć ją w przysłowiowej pigułce, zapis Jana Jasnorzewskiego odnieść można do wielu wydarzeń z minionego czasu i stosunku do nich ziemskich władz kościelnych. Ocena i wnioski są lakoniczne i celne. Dlatego jestem „za”. Stanowisko Autora budzi jednak mój sprzeciw, ponieważ za błędne uważam całkowite odrzucanie historii nie tylko dlatego, że jest „nauczycielką życia”. Historia pozwala utrwalić między innymi naszą tożsamość i wyjaśnić, choćby w przybliżeniu, zaszłości. Bez świadomości historycznej trudno rozwijać naszą terażniejszość w rozumieniu idei i organizacji. Nadto znajomość historii winna pozwalać na uniknięcie sytuacji, w której będziemy „wyważać otwarte drzwi”, a to znaczy wchodzić w błędy poprzedników nie znając skutków tych błędów. W tym wszystkim ważne jest, aby historia nie zauroczyła nas i nie zamknęła na sprawy bieżące. Dlatego przestrozę Jana Jasnorzewskiego biorę do serca choć z zastrzeżeniami wymienionymi wyżej. Czyli jestem „za, a nawet przeciw”.

siostra Adela

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Józef– **Poddać się modzie** – s. 1

Stanisław Obirek – **Zamiast zderzenia dialog** - s.4

brat Jerzy - **Znak krzyża** - s.8

Honorata Korpikiewiczy – **Dwa aforyzmy** – s. 10

Inga Trochimowicz - * * * - s. 11

brat Paweł – **O bracie kapłanie Marii Polikarpie Zaborku - Wspomnienie** – s. 12

Sławomir Gołębiowski - **Moje votum separatum** -s. 19

brat Wiktor - **Dwie drogi** – s. 26

Redakcja - **Do naszych prenumeratorów i czytelników** - s. 30

Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW

ST.F. - **Kierownictwo duchowe ludzkości** – s. 7

LISTY DO REDAKCJI:

siostra Adela - „**Jestem za, a nawet przeciw**” - s. 31

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: brat M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl oraz redaktorpracy@interia.pl Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów – 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,55 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 5 kolejnych zeszytów pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 20 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Okazania tu wysokości prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.
